

RECENZJE

MARCIN KULA
Uniwersytet Warszawski
Akademia Leona Koźmińskiego

SKOMPLIKOWANE BRZEMIE¹

Abstract

Marcin Kula: *Complicated burden*, "Historyka", XLI, 2011: 175–180.

Article is a review of Maciej Bugajewski's book *Brzemie przeszłości. Zło jako przedmiot interpretacji historycznej*.

W okresie bezpośrednio powojennym (niestety nie ustaliłem daty!) prof. Władysław Konopczyński wygłosił odczyt w Towarzystwie Naukowym Warszawskim. W owym odczycie poczynił m.in. obserwację, iż „historia miała wielkich mistrzów i poważnych metodologów – ale to nie byli ci sami”. Po przeczytaniu książki dr. Bugajewskiego mogę jedynie potwierdzić te słowa. Metodolodzy historii zdają mi się tworzyć świat dla siebie, podczas gdy ja jestem skromnym historykiem, nawet jeśli często zbuntowanym. Bardzo chciałbym, ażeby historycy zwiększyli swoją refleksję metodologiczną. Uważam za konieczne zwiększenie miejsca metodologii w programie studiów historycznych (może w miejsce uczenia metod robienia fiszek, które już dziś mało kto robi?). Widzę, że nasi studenci, dostając takie lektury, jak prace dr. Bugajewskiego, mało rozumieją. Wtedy albo im mówię, że też niewiele rozumiem, albo mówię: „jak dorośniecie, to zrozumiecie” – co może być jednak nadmiernym optymizmem, gdy zważyć funkcjonujący program studiów.

Podzielam tezę autora, że historiografię należy gruntownie przeświecić; że należy przyjrzeć się stosowanym pojęciom i sądom wartościującym. Jestem bardzo szczęśliwy, że ośrodek poznański rozwija metodologię – ale książkę dr. Bugajewskiego czytałem jak przybysz z innej planety. Wręcz nie jestem pewien, czy ją zrozumiałem i czy to na pewno ja powinienem być recenzentem. Cała moja odległość od standardowej historiografii nie

¹ Maciej Bugajewski, *Brzemie przeszłości. Zło jako przedmiot interpretacji historycznej*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2009, ss. 251.

tu nie pomoże. Może jestem właśnie przykładem zawodowca, reprezentującego cechy zawodu, z którymi walczą autorzy analizowani przez dr. Bugajewskiego i on sam.

Co też ważne, przy czytaniu tej książki odczuwałem pewną irytację. Autor zarysował mi się jak cenzor, który wybrał wygodną rolę uprawiania refleksji nad badaniami innych – a nawet nie nad badaniami innych, tylko nad tym, co inni myślą o badaniach innych. Miałem trochę poczucie, że historycy są w tej opowieści myszami. Metodolodzy nas badają, autor bada metodologów, a my biegamy po klatce nieświadomi zarówno sensu naszych ruchów (ten odkryją dopiero badacze), jak faktu, że w ogóle jesteśmy badani.

Nie da się jednak ukryć, że z książki dr. Bugajewskiego wiele skorzystałem. Ponieważ, jako nie-metodolog, niestety idę drogą najczęstszą wśród historyków, tj. mało czytam rzeczy ogólnych, a nade wszystko piszę, więc potraktowałem recenzowaną książkę jako lekturę uzdrawiającą. Swego czasu przecież słyszałem krytykę sformułowaną przez prof. Wrzosek, że historycy mało czytają² (a może też umiarkowanie myślą w kategoriach ogólniejszych?). Krytyka była słuszna. Teraz przynajmniej pośrednio dowiedziałem się co różni wielcy naukowcy myślą o wykonywaniu naszego zawodu – o czym oczywiście powinienem był wiedzieć od dawna.

Jednocześnie wciąż buntowałem się przy lekturze. Jestem za uogólnieniami. Zgadzam się, że – jeśli dobrze odczytałem autora – drogą do naukowości historiografii jest pójście w kierunku historiozofii, która jednak o tyle będzie się różnić od refleksji nad człowiekiem i dziejami dokonywanej np. przez poetów, że argumentów doszukamy się w badaniu. Boli mnie, że historycy najczęściej badają fakty, a unikają uogólnień. W moim przekonaniu twierdzenia czysto faktograficzne nie zasługują na miano naukowych. Nawet odkrycia kości Kopernika (jeśli naprawdę to są jego kości!), nie uważam za wydarzenie naukowe – jeśli nie wynika z niego nic poza znalezieniem pewnej liczby szczątków. Mogę podpisać się obiema rękami pod zdaniem autora:

rolą poznania historycznego winno być nie tylko dostarczanie – na co zgodzą się historycy – prawdziwszych, ciekawszych, pełniejszych, niż wcześniejsze, interpretacji przeszłości, lecz również – i tutaj odbiegam od zwyczajowych przekonań wielu dziejopisów – mogłoby ono z pozytykiem dla losów kultury aktywne i świadomie uczestniczyć w debacie historiozoficznej, dostarczającej społeczeństwu ogólnych wyobrażeń świata historycznego (i artykułujących je kategorii), które są sposobem wyrażania wartości orientujących człowieka w zmaganiach o przyszłość (s. 33).

Jako coś bardzo przykrego w życiu zawodowym wspominam drobne doświadczenie własne, jakim była odpowiedź jednej z młodszych koleżanek, gdy zwróciłem jej uwagę, że w prowadzonych zajęciach powinna zachęcać studentów do dyskusji nad szerszymi zjawiskami dziejowymi. Odpowiedziała na to, że inni koledzy, wizytujący jej zajęcia, zalecili jej akurat coś przeciwnego: prowadzenie studentów blisko źródła, uczenie interpretacji tekstów i ustalania faktów. Podzielam tezę autora, iż ze związków historiografii z historiozofią należy uczynić wartość, a nie starać się pozbyć historiozofii. Myślę, że w Polsce tendencja do jej pozbywania się została wzmocniona przez kompromitację marksizmu stosowanego. Po jego upadku historycy tym bardziej boją się uogólnień.

² W. Wrzosek, *Imputacja temporalna w narracji historycznej*, wykład wygłoszony 21 listopada 2005 r. w ramach Atelier de Formation à la Recherche en Sciences Sociales, zorganizowanego przez PAN, UW, EHESS, Instytut Francuski, Ośrodek Cywilizacji Francuskiej, oraz Wydział Kultury Ambasady Francji.

W stosunku do wielu zdań autora nasuwały mi się jednak obiekcje. Na jego miejscu zdefiniowałbym sam termin „historyk”. W końcu nie ma u nas kasty historyków, na podobieństwo griotów w dawnych państwach afrykańskich. Nie ma u nas stanowisk dworskich historyków, nawet jeśli niektórzy z nas występują w tej roli *via facti*. O historii wypowiada się z grubsza biorąc każdy, a z kolei zawodowi historycy nieraz wchodzą w inne role i szybko zapominają o kanonach zawodu. Zdefiniujmy więc o kim mówimy, gdy mówimy o historykach i historiografii.

Mam wątpliwości co do terminu użytego w tytule. Czy jakiś miniony fakt lub minione zjawisko nie może być zarazem powodem do chwały i ciężarem w historii? Czy nie może być złem i dobrem zarazem? Czy nie może być dla jednych złem, a dla drugich dobrem? Czy nie można budować chwały na podstawie cierpienia? Nie trzeba daleko szukać, by dostrzec sytuacje, gdy cierpienie staje się powodem do chwały. W naszej kulturze takiego wzoru dostarcza zresztą religia katolicka. Ona dostarczyła też pierwowzoru dla obrazu Polski jako „Chrystusa narodów” – czyli dla widzenia drogi Ojczyzny jako prowadzącej od cierpienia do chwały. W tej chwili narody wręcz współzawodniczą w powoływaniu swego minionego cierpienia właśnie jako tytułu do chwały³.

Odwrócenie się od dokonanego w przeszłości zła (od cierpienia) też nie jest rozłączne z pamięcią o nim. Jakże często nawet w codziennym życiu siła eliminowania czegoś z pamięci dowodnie świadczy, że o tym pamiętamy. Gdy się pochylamy nad złem, nie dla wszystkich spośród nas jest ono złem w równym stopniu, dla innych w ogóle może nie być złem. Bywają oceny, które stają się przedmiotami wiecznych sporów. Kto ma przesądzić kwalifikację? Historyk? Wolne żarty. Można postulować, jak Paul Ricoeur – jeśli dobrze rozumiem zarówno jego, jak autora – ażeby historyk nie był sędzią śledczym. Widząc zapał lustracyjny niektórych historyków sam zresztą nieraz mówiłem, że chyba pomylili się z powołaniem. Gdybym chciał – mówiłem – pełnić rolę prokuratora lub sędziego, to w swoim czasie studiowałbym prawo. Pozostaje jednak faktem, że – jak mi się zdaje – społeczeństwo oczekuje od nas wskazywania kto był TW, uczestnictwa w sądzie zbrodniarzy, rozdawaniu kar i medali. Problem jednak w tym, że oceny, dokonywane przez historyka, nie są niezależne.

W książce historyk – jak mi się zdaje – występuje jako byt w poważnym stopniu autonomiczny względem społeczeństwa. To nie jest prawdą, co zresztą Michel de Certeau (i autor, gdy go referuje) widzi. Można próbować zautonomizować historyka, jak właśnie de Certeau – jeśli dobrze rozumiem – postuluje. Nie sądzę jednak, by wyniki były gigantyczne. Badacz, obserwujący małpy, jest zewnętrzny w stosunku do nich. Historyk jest zaś częścią społeczeństwa, na dodatek dziś bardzo stadnego, mimo całej naszej atomizacji i indywidualizacji. Może dlatego największe spory, w rezultacie przewartościowujące historię najnowszą w kilku krajach, wnieśli historycy z zewnątrz (u nas Jan Tomasz Gross).

W kwestii oceny dziejów, w którą autor chce zaangażować historyków, sprawę też widzę jako bardziej skomplikowaną. Jest pewne, że nie powinniśmy przyjmować „za dobrą monetę” opinii, jaka pojawiła się o poszczególnych epokach, bądź o dowolnych fragmentach dziejów, w swoim czasie. Nie da się jednak wypracować takiego podejścia, które by uwalniało ocenę od wpływu naszej (każdorazowo naszej) skali wartości. Widać to zresztą

³Jie-Hyun Lim, *Narody-ofiary i ich megalomanie*, „Więź”, 2010, nr 2-3, s. 22-34.

empirycznie. Przecież np. ewolucja oceny średniowiecza, która dokonała się z grubsza za mojej pamięci, nie była skutkiem li tylko odkrycia nowych źródeł, bądź lepszego zrozumienia istniejących świadectw z tego czasu. Była przede wszystkim skutkiem zmiany naszego pojęcia.

Sprawa jest jeszcze szersza. Można bowiem postawić pytanie, czym w ogóle różni się zawodowa wizja (wykład) historii od potocznego wyobrażenia dziejów. Możemy oczywiście rozpatrywać, jaką rolę przypisywać pamięci (zapominaniu) w naszym zawodowym działaniu. Pozostaje jednak faktem, że w znacznym stopniu jedziemy w tym samym pociągu, co większość ludzi. Dla nich pracujemy, oni nam płacą, nasz wagon jedynie rzadko może pojechać samodzielnie. W dużym stopniu dzielimy też procesy społecznego zapamiętywania i zapominania. Najczęściej zajmujemy się tym, o czym społeczeństwo chce wiedzieć – a więc tym, o czym ono choć trochę pamięta. Jeśli przypominamy mu coś, o czym gruntownie zapomniało, to nie jest *a priori* powiedziane, że przyjmie ono rzecz do wiadomości. Wbrew pozorom, to nie historiografia przesądza wybór tradycji przez poszczególne społeczności, a przynajmniej nie tylko ona. Wystarczy spojrzeć na licznie ostatnio zbudowane pomniki i wmurowane tablice pamiątkowe. W niejednym wypadku to społeczeństwo przesądziło co jest w ogóle ważne, a historycy poszli dopiero w drugim „rzucie”.

My, wbrew pozorom, rzadko nadajemy sens dziejom. Nie mamy takiego statusu zawodowego jak fizycy atomowi. Nikt zresztą amatorskiej bomby atomowej nie zbuduje (miejmy nadzieję!), podczas gdy historykiem jest każdy. Historycy czasów najnowszych są w tym wypadku oczywiście w najgorszej sytuacji. Sam jestem bardzo ostrożny w wypowiedziach o średniowieczu, a większość kolegów –średniowieczników uważa się za kompetentnych w zakresie historii najnowszej (przecież przeżyli jej znaczną część!).

Na miejscu autora głębiej przedyskutowałbym powoływaną przezeń tezę de Certau o umieraniu przeszłości. Nie jestem pewien, czy ona w ogóle umiera. Ona żyje – i to nie tylko w wiecznie żyjącym Leninie, przerodzonej w Stalina, lub w Kim Ir Senie, przerodzonej w King Dżong Ila. Nawet gdy odrzucamy przeszłość, jesteśmy jej więźniami. To jest spadek nie do odrzucenia. De Certeau wskazuje, że historyk dokonuje zabiegów, by się odciąć, by poddać kontroli oddziaływanie przeszłości na podmiot współczesny. Mam ochotę zasugerować, że nieraz byłoby warto spojrzeć także empirycznie na stopień wolności historyka i na to, jak przeszłość determinuje byt także bardziej przeciętnych ludzi.

Dyskutowaną tezę czasem można zakwestionować przez pryzmat przykładów. Niekiedy historyk, nawet gdy na skutek własnego wieku może łatwiej odciąć się od bezpośredniej przeszłości niż jego starsi koledzy, nie jest przecież w stanie odciąć się właśnie od tych kolegów. Historyk, który pod kierownictwem Jacquesa Revela i moim zrobił pracę doktorską o kontaktach humanistów polskich i francuskich w okresie PRL⁴, sam nie był aktywny w tych czasach – jako urodzony w 1980 r. Jego promotorzy, recenzenci, członkowie komisji, jak najbardziej jednak uczestniczyli w nich. W trakcie badania autor robił nawet wywiady z niektórymi spośród nas. Jerzy Jedlicki powiedział kiedyś, że najlepsze

⁴ P. Pleskot, *Związki polskich humanistów-badaczy z humanistyką francuską w latach 1956–1989*, praca doktorska napisana w Instytucie Historycznym UW oraz w EHESS w Paryżu, pod kierunkiem Jacquesa Revela oraz Marcina Kuli, mps, 2007 (obrona odbyła się 29 października 2007 r.). Praca opublikowana została w 2010 r. zob. P. Pleskot, *Intelektualni sąsiedzi. Kontakty historyków polskich ze środowiskiem „Annales” 1945–1989*, Warszawa 2010.

prace o Holokauście zrobią historycy, którzy będą wolni od tego doświadczenia, doznanego choćby pośrednio. Powtórzył to, gdy gratulował dr. Dariuszowi Stoli rzeczywiście znakomitej pracy o sprawie żydowskiej podczas II wojny światowej⁵. Dr Stola, będąc urodzony w 1963 r., spełnia warunek braku obciążenia. Czy jednak naprawdę jest wolny od doświadczenia Holokaustu? Wątpię.

Być może następne pokolenia napiszą ciekawsze rzeczy o komunizmie niż my to robimy. Może lepiej go rozumieją, może, mniej niż my wczuwając się w różne (m.in. nasze własne) motywy, po prostu oceniają, że to, czy tamto było bzdurą. Przyszłe pokolenia jednak – wróćmy do sprawy już poruszanej wyżej – mogą z kolei widzieć komunizm przez pryzmat własnych doraźnych przeżyć. Smętną jaskółką tej sytuacji jest notoryczne wskazywanie w studenckich testach egzaminacyjnych bezrobocia jako jednej z negatywnych cech komunizmu.

Zgadzam się, że nie amnezja jest drogą do wolności, lecz krytyczna analiza przeszłości. Zgadzam się, że historiografia powinna wracać do roli „doradczyni życia” – choć nie w formie dostarczania budujących przykładów, a poprzez zwiększanie wiedzy o życiu i dziejach. Oczywiście historiografia powinna się do tego zmienić, bowiem dziś nie ma szans po temu. Pozwolę sobie jednak zapytać, czy społeczeństwo zechce kupić nasz produkt, nawet ulepszony? Przynajmniej w Polsce nic dziś na to nie wskazuje, a idąca starymi tropami zawodowymi „polityka historyczna” jest chyba dobrze przyjmowana. Żałuję tego, z różnych zresztą powodów. Społeczeństwo chce, by wyspecjalizowani zawodowcy głosili jego chwałę, pewno także by głosili niesławę krzywdzicieli. Obawiam się, że nieraz przyznaje się nam rolę klakierów lub (i) płaczek.

Zastanawiam się nad tezą Derridy, że wybaczenie jest niewykonalne poza historią, że musi zagłębiać się w historię. Prawda, proces pojednania czy to między Francją a Niemcami nastąpił z historią w tle. W moim przekonaniu najpierw nastąpiło wprawdzie pojednanie, a dopiero potem prezydenci sfotografowali się razem pod Verdun – ale przeszłość nie została pominięta. Prawda, że w Afryce Południowej droga pojednania (jeszcze zobaczymy, czy trwałego; odpukać w niemalowane drzewo!) prowadziła przez ujawnienie przeszłości, nawet jeśli ujawnienie różnych strasznych faktów teoretycznie mogło wręcz zaognić konflikty. Można jednak wskazać sytuację (ach, ta przyziemna empiria!), gdy właśnie odsunięcie historii na bok stworzyło szanse dogadania się. Nie mielibyśmy traktatu z Litwą, gdyby Strony nie zgodziły się oddać sprawy wyprawy gen. Żeligowskiego do rozważań mieszanej komisji historyków (czytaj: odsunąć jej na bok). Bez zapominania nie moglibyśmy żyć, tylko wciąż byśmy walczyli o sprawiedliwość. Zauważono już, że bez zapominania Rosjanie powinni przestać jeździć metrem, korzystać z prądu elektrycznego itd. – bowiem wszystko to zostało zbudowane na kościach łagierników.

Zastanawiam się, dlaczego autor nie rozbudował wątku szans, jakie w moim przekonaniu daje historiografii antropologia historyczna, socjologia historyczna, czy dziedziny o nacylieniu tradycyjnie historycznym, jak urbanistyka, czy klimatologia. Przecież w tej chwili sytuacja jest paradoksalna. Historiografia produkuje wiedzę, którą następnie inne dyscypliny zagospodarowują w dokonywanych przez siebie uogólnieniach. Jestem ostatnią osobą, która przywiązywałaby wagę do formalnych podziałów na dyscypliny w naukach humanistycznych. Pozostaje jednak faktem, że dyscypliny istnieją. No i w ramach

⁵ D. Stola, *Nadzieja i zagłada*, Oficyna Naukowa, Warszawa 1995.

niepisanego podziału pracy historycy dostarczają cegieł do budowy domu, który projektuje i buduje ktoś inny. Niby może tak pozostać. W końcu producenci cegieł są też potrzebni, by dom powstał. Cierpią jednak na tym nasi studenci, którym nie stwarzamy dostatecznie szerokiej perspektywy i w konsekwencji ograniczamy ich rozwój intelektualny.

Recenzowana książka jest bardzo ciekawa, nawet jeśli trudna dla historyków. Owa trudność potwierdza negatywne aspekty stanu naszego środowiska. Uprawiamy raczej metodykę niż metodologię. Rozważania o większości spraw ponadempirycznych kwalifikujemy jako „filozofowanie” – z akcentem pejoratywnym. Tym bardziej książka dr. Bugajewskiego może odegrać dobrą rolę w środowisku. Trzeba tylko jeszcze uczynić, by historycy ją czytali – a trudno wszystkich spośród nas uczynić np. recenzentami w przewodzie habilitacyjnym.